



## Mirosław Derecki

### MELANŻ KULTURALNY

*Nic rychło taki drugi powstanie Zamoyski,  
Co by tak umiał władać i pióry i wojski,  
A nikt nam do tych czasów nie dokazał tego...  
Kto nałożył taki koszt na ludzi uczone?  
Kto przywiedzie nauki w dom twój wyzwolone...  
Wielce on sobie ważył mowę z uczonymi  
Takie miał i nazywał przyjaciółmi swymi...*

Ks. Stanisław Grochowski pisząc panegiryk na cześć Jana Zamoyskiego nie przypuszczał - zapewne, że w tym wypadku okazał się prorokiem. Przynajmniej jeżeli chodzi o Zamość. Istotnie - nierychło...

Po Śmierci Hetmana, sławna Academia Zamoscensis i zamojska drukarnia zaczęły szybko „chylić się ku upadkowi”.

O ile jeszcze syn - Tomasz spełnił po części pokładane w nim nadzieje, o tyle wnuk, także Jan, okazał się niezwykle przekorny...

O nim, sienkiewiczowskim Sobiepanie, współczesny mu Andrzej Morsztyn miał uzasadnione podstawy do napisania wierszyka, który jest raczej daleki od panegiryku:

*„Zośka z Zamościa, Baśka z Turobina  
Jewka z Zwierzyńca, z Krzeszowa Maryna  
Te cztery k... z piątą panią starą  
Pod dobrą idą na wędrowną wiarą  
Teraz, że z ślubną związku zwarte żoną,  
Precz ich zapewne od dwora wyżoną...*

Niestety. Nawet tutaj fatalny zawód. „Wziął swą Francuzeczkę bez grosza, dał jej wspaniałe wiano, dwanaście tysięcy talarów na szpilki, sto tysięcy talarów w upominku i wiele obietnic na przyszłość. Po czym pił dalej...” (Boy - „Marysieńka Sobieska”).

Swoją drogą, gdyby „goły Janek” (nazywany tak z racji ogromnych bogactw) prowadził

inny tryb życia, być może Maria Kazimiera d'Axquien nie została Marysieńką, Sobieski królem, nie byłoby odsieczy pod Wiedniem - jeszcze jednego klejnotu w koronie Przedmurza Chrześcijaństwa a wydra pana Paska umarłaby ze starości... Ile jednak może zdziałać jeden przekorny człowiek!

Wracając jednak do spraw Zamościa, wymieniona wyżej dodatnia cecha charakteru pana Jana odbiła się w sposób jak najbardziej niekorzystny na jego własnym mieście. Późniejsi ordynaci także nie kwapili się zbytnio do wydawania pieniędzy na kulturę, na miłe hobby swojego wielkiego przodka. Reszty dokonała sytuacja polityczna kraju. Jeszcze sto lat - zabór austriacki. Następne sto - siedziba „polskiego Medyceusza” carskim więzieniem politycznym. Pierwsza wojna światowa... Dwudziestolecie międzywojenne - tutaj nagłe ożywienie życia kulturalnego, Bolesław Leśmian, ambitna Tekla Zamojska...

I znowu II wojna...

„Europejczyk przybywający do Iranu jest jak robak pełzający po skorupie orzecha. Orzech dla niego to przedmiot suchy, twardy, nieinteresujący. Kiedy jednak uda mu się znaleźć szczelinę i dotrzeć do jądra - rozsmakowuje się w nim. A kiedy później chce wyjść z powrotem, okazuje się, że zbyt dużo zjadł, aby przejść przez otwór”.

Doktor Skotnicki wiele podróżował po świecie. Wreszcie osiadł w Teheranie. I gdyby wojna nie przerwała jego „perskiej” kariery (a do pacjentów doktora zaliczał się sam Szach Reza Pahlevi), kto wie, czy stara perska przypowieść nie zyskałaby jeszcze jednego przykładu potwierdzającego jej słusność.

Widocznie los lubi płatać figle nie tylko ludziom, ale i przypowieściom. Okazało się, że ogołocona ze wschodniego smaczku może także stosować się do polskiego Zamościa. Tak przynajmniej twierdzi doktor.

W Teheranie dr Skotnicki brał czynny udział w działalności kulturalnej polskiej kolonii, w Zamościu także nie zrezygnował z pracy kulturalno-oświatowej. Oprócz pracy zawodowej (lekarz-okulista), pełnił funkcję przewodniczącego sekcji kulturalno-oświatowej zamojskiego Klubu Inteligencji. To on wpadł na pomysł zorganizowania spotkań-dyskusji cieszących się wielkim zainteresowaniem miejscowego społeczeństwa. Na dyskusję o lotach kosmicznych przyszło ok. 200 osób - rzecz w Zamościu niespotykana. Tematem najbliższego spotkania będzie „Rodzina i Prawo”. Po krótkiej pogadance wstępnej wygłoszonej przez fachowca, w dyskusji bierze udział cała sala. Za najbardziej interesujące wypowiedzi przyznawane są nagrody.

Działalność sekcji kulturalno-oświatowej nie ogranicza się tylko do organizowania wieczorów dyskusyjnych. Przed kilkoma tygodniami sekcja przejęła w swoje ręce sprawę reaktywizacji Teatru Ziemi Zamojskiej, nosi się z zamiarem założenia kabaretu satyrycznego.

„Jednocześnie, wszystkie nasze poczynania hamuje brak własnego lokalu. Klub Inteligencji tuła się po prywatnych mieszkaniach. Imprezy organizowane są w przypadkowych pomieszczeniach. Sytuacja byłaby rozwiązana, gdyby w Zamościu istniał Dom Kultury. Klub Inteligencji znalazłby tam schronienie. W obecnej chwili - powiedział mi na zakończenie dr Skotnicki - Dom Kultury w Zamościu to najważniejsza rzecz”.

W Zamościu mała sensacja. Do miasta przyjechała znana francuska malarka - „Madame Zofia”. Madame Zofia, to pseudonim rodowitej zamościanki, Zofii Kulaszyńskiej. Po pełnych sukcesów latach, spędzonych w Paryżu i Południowej Afryce, gdzie była kierowniczką Centrum Sztuki Zdobniczej, wróciła do Polski. Opuściła ją w 1920 r.

„Wyobrażałam sobie wtedy, że Paryż to ósmy cud świata. Cywilizacja, postęp, technika... Może dlatego tak bardzo byłam zaskoczona zwykłą lampą naftową w pracowni Olgi. Tak, nie myli się pan. Olgi Boznańskiej. Jestem jej uczennicą. To był dziwny człowiek.

Kiedy wieczorami spacerowałyśmy po Montparnasse, Olga swoim strojem z epoki fin-de-siecle'u wzbudzała niemałą sensację nawet tam, w Paryżu, zubożniałym na wszelkie ekstrawagancje.

Stara panna, o bardzo surowych zasadach, dla innych mogła być wyrozumiała, dla siebie - nigdy. Przy całkowitym, zdawałoby się, braku kobiecych cech charakteru potrafiła nagle wybuchnąć gniewem, kiedy zapytano ją o wiek, a o swojej dawnej rywalce nie wyrażać się inaczej jak „ta lafirynda”. Zawsze poważna, miała przecież poczucie humoru. Kiedyś jeden ze znanych malarzy prosił, żeby oceniła jego ostatnią „martwą naturę”. Boznańska wyraziła zgodę. „No dobry, dobry - powiedziała po obejrzeniu obrazu - ale pan chyba będzie jeszcze na tym malować?”

Zapamiętałam ją z nieodłącznym papierosem w ustach, dwoma pieskami - „Qui-qui” i „Lalique”, wałęsającymi się po pracowni zaśmieconej czerwonymi pudełkami po mocnym tytoniu fajkowym, z którego robiła papierosy. Chciała umrzeć w Krakowie, jest pochowana na cmentarzu w Montmorency...”

Zofia Kulaszyńska myśli o pozostaniu w Polsce na stałe. W Zamościu chce zrobić wystawę swoich obrazów, brać czynny udział w życiu miasta. Tym bardziej, że córeczka Margueritte ucząca się w Liceum Sztuk Plastycznych, coraz większego przekonania nabiera nie tylko do Polski, ale i do samego Zamościa.

Od kilku lat, wicedyrektor Liceum Sztuk Plastycznych w Zamościu, Marian Iwańców, stara się przeschęcić na teren Polski niektóre doświadczenia kolegów zagranicznych. Dziecięca Olimpiada Rysunkowa.

Jest to magiczne zdanie, które powoduje, że siwy, poważny dyrektor zrzuca w jednej

chwili z grzbietu balast co najmniej dwudziestu lat. Mówi z zapałem, przekonywająco.

W 1957 r. wpadł na pomysł stworzenia olimpiad rysunkowych. Pierwsza olimpiada odbyła się już w r. 1958. Z pomocą przyszedł ZNP i Powiatowy Wydział Kultury. Tegoroczna olimpiada będzie już czwartą z rzędu.

Iwańciów postuluje hasło - „uczestnictwo mas w tworzeniu sztuki”. Oczywiście chodzi nie o to, żeby wychowywać całe pokolenia przyszłych artystów, ale o wychowanie inteligentnych odbiorców sztuki.

Podstawowym warunkiem olimpiady jest swobodna twórczość dziecka. Nauczyciel może tylko podsuwać pewne pomysły, zapoznawać z technikami malarskimi, służyć radą. Nadesłane prace dzieci są oceniane przez komisję złożoną z artystów, najlepsze - nagradzane.

Już w pierwszym roku do olimpiady przystąpiło kilkanaście szkół. Obecnie akcja objęła niemal cały powiat zamojski. Oprócz olimpiady, utworzony w Zamościu Ośrodek Kultury Plastycznej organizuje wystawy objazdowe złożone z najlepszych prac dzieci zamojskich, a także wystawy twórczości dzieci innych, krajów, m.in. Indii, Japonii. Dla nauczycieli prowadzi kursy doszkalające.

Niestety, ta interesująca akcja obejmuje tylko powiat zamojski. Marzeniem organizatorów jest rozszerzenie idei olimpiad dziecięcych na całą Polskę. „Jeżeli mogą być organizowane ogólnopolskie konkursy recytatorów, mówi Iwańciów, dlaczego by nie zrobić podobnych konkursów plastycznych z eliminacjami powiatowymi, wojewódzkimi, centralnymi”. Dzieci odnoszą się do olimpiad z wielkim entuzjazmem. Malują poza godzinami lekcyjnymi, wkładają w swoją pracę dużo wysiłku i zapału. Często odnoszą sukcesy na zagranicznych konkursach międzynarodowych (Indie, Japonia). Największą trudnością jaką napotyka w swojej pracy Ośrodek Kultury Plastycznej jest brak instruktorów.

W katalogu wystawy olimpiady rysunkowej z czerwca 1960 roku Marian Iwańciów napisał: „Porównując obecną, trzecią wystawę dzieci zamojskich z wystawami lat poprzednich widzimy ogromny postęp, wyrażający się w stosowaniu różnorodnych technik malarskich umożliwiających uzyskiwanie bogatych wartości plastycznych. Podczas gdy w pierwszym roku Olimpiady Rysunkowej uczestnicy posługiwali się tylko kredką lub akwarelą, a w drugim roku dodatkowo klejówką - na obecnej wystawie widzimy zastanawiające bogactwo. Obok tradycyjnej kredki, akwareli lub klejówki podziwiać możemy prace wykonane kolorowymi tuszami, monotypię, odprysk, kolaż, albo próby łączenia kilku technik jak np. akwareli z twardą kredką, a tuszu z klejówką lub pastą do zębów...”

Cały czas była mowa albo o dzieciach, albo o dorosłych. Wydawałoby się więc, że młodzież, a w Zamościu jest trzynaście szkół średnich, bierze bardzo mały udział w życiu

kulturalnym miasta. I do pewnego stopnia tak jest. Poza kinem i książką młodzież licealna nie ma żadnych rozrywek. Do kawiarni chodzić nie wolno, imprezy odbywają się przeważnie późnym wieczorem, ok. godziny 20, kiedy obowiązuje szkolny zakaz wychodzenia z domu.

Tutaj dużo może działać silna w Zamościu organizacja ZMS, która ostatnio bardzo wiele uwagi przywiązuje do spraw kultury. Taką pierwszą zapowiedzią będzie organizowany w tej chwili klub młodzieżowy w piwnicy przy ulicy Zamenhoffa, oprócz działalności rozrywkowej będzie skupiał szereg kółek zainteresowań, znajdzie w nim miejsce i teatrzyk młodzieżowy.

To w najbliższej przyszłości. W chwili obecnej działalność ZMS i współdziałającego z nim ZMW odnosi się głównie do młodzieży zatrudnionej w zakładach pracy i okolicznej młodzieży wiejskiej. Szereg działających na terenie miasta i powiatu zespołów dramatycznych, instrumentalnych i tanecznych jest wynikiem pracy tych dwu organizacji.

Oto kilka rozdziałów z życia kulturalnego Zamościa. Na terenie miasta działa wiele energicznych osób, każda pracuje jednak trochę na własną rękę. Nie ma placówki kulturalnej, która zgromadziłaby je na swoim gruncie, dała zaplecze lokalowe, materialne i nadała właściwy ton wspólnemu działaniu. Taką placówką dla wszystkich ugrupowań kulturalnych (i nawet dla entuzjastów „zoologu”, dla miłośników zwierząt), powinien być i na pewno będzie Dom Kultury, którego budowę rozpoczyna się już w marcu br. Na jeszcze intensywniejszy rozwój życia kulturalnego wpłynie odrodzenie się starej Akademii Zamoscensis w zamojskiej filii lubelskiego Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Zamość stanie się znowu miastem uniwersyteckim. Po latach zupełnego upadku, jednak przy obecnym stanie rzeczy jest to miasto jednym z najżywszych ośrodków kulturalnych Lubelszczyzny. Tylko specyficzne warunki sprawiają, że na razie w ośrodku tym panuje pewne zamieszanie - taki melanz kulturalny.

Wspomniałem o „zoologu” więc a propos...

Trzeciego dnia po objęciu ZOO przez nowego kierownika, niedźwiedź wyłamał drzwi klatki. W ogrodzie powstała panika. Tymczasem zwierzę usiłowało przedostać się przez parkan ogrodu zoologicznego do miasta.

Tomasz Grabowski wyłamał kawałek okiennicy i z całej siły uderzył niedźwiedzia między oczy. Ogłuszone zwierzę skapitulowało. Teraz łatwo już było zapędzić je do klatki.

Mgr Tomasz Grabowski, kierownik zamojskiego ZOO, opowiada o tym wypadku, jak opowiada się o jakimś mało znaczącym epizodzie ze swego życia. „No cóż, zwykła sprawa, niedźwiedź wyszedł z klatki - trzeba było, żeby wszedł z powrotem...”

W swoim mikroskopijnym gabinecie kierownik częstuje mnie herbatą. Pyton zjadł

kurczaka, zwinął się w kłębek i zasnął. Przez dwa tygodnie będzie wyglądał w swojej szklanej gablotce jak wypchany eksponat muzeum zoologicznego. Czy ktoś pił herbatę ze starej chińskiej porcelany, mając tuż pod ręką śpiącego pytona?! To niemal surrealizm.

Podchodząc zaś całkiem realistycznie do spraw ZOO zamojskiego... Ogród zoologiczny w Zamościu, założony w 1918 r. przez profesora zamojskiego gimnazjum Stefana Milera jako jeden z pierwszych w Europie szkolnych ogrodów przyrodniczych, przechodził różne koleje losu. Po okresie rozwoju, wojna, później brak zainteresowania ze strony władz i nieudolne kierownictwo - wyrządziły ogromne szkody. Kierownikami ogrodu byli kolejno: szewc, gajowy i kilku innych ludzi nie posiadających żadnych danych na powierzenie im tego rodzaju placówki.

Kiedy Grabowski przyszedł tu w 1937 r. - zastał ogród w rozpaczliwym położeniu. Zwierzostan był wyniszczony, połowa pozostałych przy życiu zwierząt - chora.

W 1981 r. ZOO może już się pochwalić 120 gatunkami. (W 1957 r. - 54 gatunki). Frekwencja zwiedzających, z 65 tysięcy w r. 1957, wzrosła do stu tysięcy w 1960.

Tyle cyfry. Kryją się za nimi trzy lata żmudnej pracy.

Kilka miesięcy temu prasę obiegła wiadomość, że w Zamościu w ZOO znajduje się cielak z dwiema głowami. Mówiło o tym Radio, zjechała Telewizja. Cielaka sfotografowano, sfilmowano.

Nie zwrócono jednak przy tej okazji uwagi na ciężkie położenie, w jakim nadal znajduje się ZOO. Jego największe w Polsce zagęszczenie zwiedzających jest po części także wynikiem najmniejszego w kraju obszaru zajmowanego przez ogród zoologiczny.

Klatki są stare, ciasne, brak wybiegów...

Dopiero ostatnio powiał lepszy wiatr. Ogród ma być przeniesiony. Projekty są już gotowe. Przyznany nowy teren położony jest pomiędzy dworcem kolejowym a ulicą Królowej Jadwigi. Lokalizacja zatwierdzona. Pieniądze też się znalazły.

Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Zamościu podejmując decyzję przeniesienia i rozbudowania ogrodu zoologicznego wzięło pod uwagę fakt utworzenia w mieście, już w niedalekiej przyszłości, sekcji biologii i rolnictwa UMCS. Dlatego też ogród będzie rozbudowany ze szczególnym uwzględnieniem zwierząt domowych i pól domowych.

Sensację w mieście budził do niedawna Tomasz Grabowski spacerujący z Simbą u nogi. Simba, to duża, płowa lwica.

W dniu, kiedy Sesja MRN obradowała nad przyszłością ZOO, wybrali się razem z Simbą do Ratusza. Nikomu nie przeszkadzali, - usiedli cicho w kąciku.

Dziwne, że wszyscy byli jacyś zdenerwowani...I że wszystkie wnioski na temat ogrodu przeszły przez aklamację.

Pierwodruk: „Kamena”, 1961, nr 3, s. 9,11.